

## PAULOS RAPTIS

- głos szczerzłoty

Mimo wczesnej pory upał stawał się już nieznośny. Zostawiłem więc narzędzia w ogrodzie. W zaciemnionym pokoju, chroniącym przed duszną i parną pogodą majową, chciałem chwilę odpocząć, słuchając nowych nagrań. Były to pieśni greckie śpiewane przez Paulosa Raptisa, zarejestrowane na jugosłowiańskiej płycie pt. *Sagapo, sagapo*. I nagle ten dzień wydał mi się jeszcze bardziej słoneczny, bo wróciły wspomnieniem roziskrzona fale Morza Śródziemnego, białe, małe domki na stromych brzegach; poczułem zapach wiatru i ryb. Miękki głos Paulosa był tak sugestywny w swojej południowej soczystości i łagodnym, jakby rozleniwionym przez słońce liryzmie, że nawet zaparzona przed chwilą kawa - zalewajka zaczęła mi smakować jak ta z arabskiego czy tureckiego tygielka.

Z głośników popłynęła słynna *Akropolis adieu*. Pomyślałem w tym momencie, że słuchając tej piosenki w jego wykonaniu, nikt by nie przypuszczał, iż to skądinąd wesołe i pełne swoistego ciepła zawołanie tytułowe symbolicznie wiąże się z wielką tragedią dzieciństwa Paulosa Raptisa. Urodzony w greckiej części gór Macedonii, na pograniczu z Albanią, mały chłopiec nie zdążył nawet odwiedzić Aten i spojrzeć na Akropol, gdy musiał pożegnać się z rodzinnym krajem.

Kiedy w 1946 roku przywrócono w Grecji monarchię, komuniści utworzyli swoją armię i rok później rozgorzała wojna domowa. Zginęło w niej dwóch starszych braci Paulosa. Rodzice, siostra i on, wraz z tysiącami innych uchodźców - przekroczyli granice Albanii, znajdując tam schronienie przed bombami. Ich rodzinna wieś Trifolo, położona w okręgu Kastoria między trzema górami (stąd jej nazwa: „trifolos” to po grecku „trzy góry”), opustoszała. Domy i dobytek (w tym także księgi parafialne z metrykami urodzeń) zniszczył ogień. Może wydać się nieprawdopodobne, ale wszystko wskazuje na to, że prawdziwą datę urodzenia Paulosa Raptisa ustaliliśmy przypadkiem podczas obiadu dnia 29 maja 1985 roku. Ale o tym za chwilę.

Po prawie dwuletniej tułaczce między Albanią i Rumunią, oddzielony od rodziców, Paulos znalazł się pod koniec 1949 roku na lotnisku w Tiranie. Odlatywały stąd samoloty do różnych krajów, które chciały przyjąć uchodźców z Grecji. Nikt nie wybierał sobie drogi. Przypadek sprawił, że wraz z innymi dziećmi skierowano go do samolotu LOT. I w ten sposób od 1950 roku Polska stała się jego nową ojczyzną. Już na całe życie. Kilkunastoletni grecki góral zupełnie sam rozpoczął swoje życie jakby od nowa.

Jedyne, co wywiózł z miejsca urodzenia, to śródziemnomorski głos i naturalne umiłowanie muzyki.

Początkowo skierowano go do szkoły zawodowej w Zgorzelcu, ale dzięki życzliwym radom wychowawcy znalazł się po pewnym czasie w szkole muzycznej w Szczecinie. I tu los po raz pierwszy obdarował go życzliwym uśmiechem. Trafił bowiem do klasy śpiewu Michała



Paulos Raptis

Prawdźca, który zaopiekował się nim jak własnym synem. Co to oznaczało dla osamotnionego, kilkunastoletniego Paulosa, który dopiero uczył się języka polskiego i mieszkał w internacie - nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Jednocześnie z nauką śpiewu uczył się gry skrzypcowej. W 1955 roku ukończył średnią szkołę muzyczną w Szczecinie i wyjechał na studia do Poznania. W lecie tego roku zadebiutował na publicznym występie jako... dyrygent. Otóż mieszkając w Szczecinie, utworzył 75 - osobowy zespół złożony z młodych uchodźców greckich. Śpiewali i tańczyli w swoim internacie ku własnej i kolegów radości, aż do chwili, gdy w 1955 roku trzeba było pokazać Greków na V Światowym Festiwalu Młodzieży w Warszawie. Warunki polityczne nie pozwalały na przyjazd młodzieży z Grecji, więc pojechali ci ze Szczecina. I tak oto na estradzie rynku na Mariensztacie Paulos Raptis zadyrygował czterogłosowym chórem podczas wielkiej międzynarodowej imprezy, o czym teraz wspomina nie kryjąc sentymentu w głosie.

W poznańskiej PWSM studiował na wydziale wokalnym pod kierunkiem docenta Kazimierza Czarneckiego. Po raz drugi los był łaskawy. Pedagog w pełni docenił naturalne możliwości głosowe Raptisa i nie zwracając uwagi na akademicki wymiar godzin, udzielał mu lekcji wtedy, kiedy to było potrzebne, nawet w niedziele. Był to bowiem muzyk z krwi i kości, a tacy, gdy napotkają, talent samorodny, pracują nad oszlifowaniem i wydobyciem pełnego blasku - nie zważając na porę i zmęczenie.

Teraz Paulos dodaje: - Zawsze, gdy przyjeżdżam do Poznania lub Szczecina, najpierw idę z kwiatami na groby obu moich nauczycieli. Wiem, że mój śpiew zawdzięczam tym przybranym „muzycznym ojcom”.

Będąc studentem, Raptis występował na estradzie koncertowej z recitalami arii i pieśni. Znany krytyk poznański Kazimierz Nowowiejski napisał w jednej z recenzji pt. *Młode talenty PWSM*, że Paulos Raptis „dysponuje tenorem lirycznym o pięknej barwie (giętka dynamicznie fraza, bezpośredniość wyrazu) i że „można wróżyć mu piękną przyszłość artystyczną”. Czas pokazał, iż krytyk miał racje.

Studia uwieńczył podwójnym sukcesem. Artystycznym - bo otrzymał dyplom z wyróżnieniem, i osobistym - bo poznał kobietę swego życia, wówczas studentkę polonistyki, Helenę Skibę. Podczas jednej ze wspólnych podróży nasza rozmowa zeszła na temat pań (bo nie da się ukryć, że panowie też muszą od czasu do czasu poplotkować). - Jesteśmy już razem dwadzieścia kilka lat i jedno wiem: Helenka stworzyła mi dom, a ja dzięki temu mogę spokojnie pracować i z dumą patrzeć, jak rośnie i rozwija się nasz syn Tomek. To jest dla mnie szczęście. Każdy sukces artystyczny jest niepełny, gdy nie ma przy nim spokojnego domu.

W ustach człowieka, któremu w dzieciństwie zabrano dom i ojczyznę, te słowa nabierają szczególnego zabarwienia i znaczą dużo więcej niż w przypadku każdego z nas.

Po koncercie dyplomowym w maju 1960 roku poznańscy krytycy nie szczędzili pochwał młodemu Grekowi. Norbert Karaśkiewicz napisał w „Tygodniku Zachodnim”, że „jako tenor Raptis wybija się już dzisiaj na jedno z czołowych miejsc w naszym wykonawstwie operowym”. Natomiast cytowany wyżej K. Nowowiejski po raz wtóry postawił właściwą diagnozę, tym razem doradzając życzliwie dalsze kroki ku karierze: „Śpiewa tenorem o metalicznym zabarwieniu oraz szczególnie dźwięcznej i efektownej «górze». Głos nie bywa tu forsowany, przeciwnie, zwracają uwagę kulturalne piana i mezzavoce (pięknie sfilowane wysokie «c» w Caratinie z opery *Faust* Gounoda). Paulos Raptis powinien teraz wziąć udział w kilku międzynarodowych konkursach wokalnych, na których miałby na pewno duże szanse powodzenia”.

Kilka miesięcy później - już jako etatowy solista Opery Łódzkiej - młody śpiewak potwierdził słowa krytyka, zdobywając na V Ogólnopolskim Konkursie Śpiewaczym w Katowicach II nagrodę, przyznaną równorzędnie jemu i Teresie Wojtaszek (późniejszej solistce Metropolitan Opera); specjalne wyróżnienie za poziom akompaniamentu zdobył początkujący wtedy pianista Jerzy Marchwiński. Był to czas „wylęgania się” dzisiejszych największych gwiazd muzyki polskiej. Gazety łódzkie z dumą podawały, że parę tygodni wcześniej dwoje innych solistów ich opery - Teresa Żylis-Gara i Jerzy Artysz, wrócili z nagrodami z konkursów międzynarodowych. W Opolu zaś rozpoczynał swoją karierę jeden z najlepszych dziś naszych dyrygentów, Tadeusz Strugała. W marcu 1961 roku odbył się prowadzony pod jego batutą koncert, na którym partie solowe śpiewał Raptis. Krytyk „Trybuny Opolskiej”, Zbigniew Kościów, napisał: „Specjalną uwagę należy poświęcić występom tenora Paulosa Raptisa, który był chyba największą atrakcją wokalistyczną nie tylko obecnego sezonu (...) Głos Raptisa - to wysokowartościowy w całej skali instrument, którym solista dysponuje ze wzorową swobodą techniczną. Jego wrodzone zalety głosowe występują w parze z rzadko spotykaną u wokalistów wiedzą, inteligencją i subtelnością muzyczną. Pozwala mu to na sugestywne rozplanowanie w przebiegu utworu bogatego zasobu barw brzmieniowych, wyraziste kreślenie przebiegu fraz oraz pełne osiągnięcie dolnych i górnych punktów największego napięcia akcji muzycznej”.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się siedem lat temu w hotelu „Opole”. Miałem wówczas poprowadzić serię recitali Paulosa Raptisa, które Krajowe Biuro Koncertowe zorganizowało mu na Opolszczyźnie. Już podczas pierwszej porannej rozmowy w hotelowej restauracji zaimponował mi swoją otwartością, wesołym usposobieniem i... własnym śniadaniem. Dotąd uważałem siebie za obżartucha, ale to, co zamówił sobie na śniadanie Paulos - kogoś innego nasyciłoby w trakcie trzech posiłków. „Człowiek, który lubi dobrze i dużo zjeść, nie może być zły i złośliwy, a raczej należy do tych, którzy radują się życiem i innym dobrze życzą” - pomyślałem sobie wówczas. I do dziś nie zmieniłem tego zdania o Pawlakim (bo tak brzmi zdrobniałe imię greckiego Pawła). Podczas zaś całej naszej trasy koncertowej podziwiałem jego kondycję („ja muszę dobrze zjeść, bo i tak ze śpiewem wyrzucam z siebie nagromadzoną energię”) i radość śpiewania. Autentycznie cieszył się każdymi brawami, każdym bisem - przed każdą publicznością. Czuł, że nawet w najmniejszej miejscowości ludzie go lubią, chcą słuchać, czasami płaczą ze wzruszenia. Ale i publiczność mogła też odczuć, że Paulos szanuje i lubi swoich słuchaczy. Dziś, przy postępującej szybko komercjalizacji sztuki, przy narastającym snobizmie i swoistej pogardzie dla tych, „co niżej od nas” - koncerty Raptisa były dla mnie rzadko spotykanym rarytasem prawdziwej radości muzykowania. Dla Paulosa intensywna praca (uczy się nowych partii błyskawicznie), ruchliwe życie koncertowe - to sama radość. W jednym z wywiadów w Detroit powiedział: - Myślę, że najszcześniejsi są ci, którzy podchodzą do swej pracy z pasją i świadomością, że wszelkie wzloty i upadki zależą od nich samych.

Swoją popularnością wśród żyjących polskich śpiewaków mógłby konkurować tylko z Ładyszem. Dwa wspaniałe samorodne talenty głosowe, wsparte wieloletnią pracą. Obaj też sięgają do repertuaru piosenkarskiego, co - prócz wielbicieli opery - bardzo poszerzyło krąg odbiorców ich sztuki.

Jeszcze zanim poznałem Paulosa osobiście, uważałem, że ma najbogatszy i najpiękniejszy głos wśród wszystkich żyjących tenorów polskich, głos o szlachetnej barwie i wspaniałej Jzw. górze. Najpiękniejszy od czasów Kiepur. Sympatia prywatna ugruntowała tylko „sympatię

zawodową”, chociaż wiem, że swoją opinią nieco odbiegałem od tego, co sądził stołeczny high life. Ale niedawno zupełnie zdębiałem. Otóż już w latach osiemdziesiątych przeczytałem opinie dwóch najpiękniejszych prezenterów operowych, które zupełnie odbiegają od ocen kawiarni warszawskiego Hotelu „Europejskiego”. Boguś Kaczyński przed swoją półprywatną imprezą „Łańcut ‘82” zapowiedział w wywiadzie dla „Nowin Rzeszowskich”: „Festiwal otwierać będzie nie orkiestra, lecz znakomity śpiewak, śmiem twierdzić, że najlepszy śpiewak w Polsce, Paulos Raptis”. A Janusz Ekiert, w recenzji z premiery *Opowieści Hoffmanna* w tym samym 1982 roku napisał: „Tenor Paulosa Raptisa (Hoffmann I obsada) to cud natury, jak bryła czystego, lśniącego złota, którą można kontemplować, zapominając o wszystkim”. No, no... coś się przewraca ostatnio w operowym mikroświatku, który całymi latami nie chciał wybaczyć Paulosowi, że za dużo koncertuje (a w języku kawiarni to znaczy, że chałturzy), i co gorsza: że śpiewa zwykłe piosenki... Taki wstyd! Zdaje się, że koła opiniotwórcze zapomniały, jak to Kiepura piosenkami zdobywał sobie wielbicieli.

Różne źródła podawały różne daty urodzenia Paulosa Raptisa. Między 1935 a 1938. On sam nie znał tej daty dokładnie, a przyjmując obywatelstwo polskie, musiał coś podać, choćby w przybliżeniu. I właściwie podczas obiadu w domu państwa Raptisów (oczywiście kuchnia śródziemnomorska, ostro i wonnie przyprawiona, pełna zieleniny i smakowicie oprawionych warzyw, z niezrozumiałymi dla polskiego podniebienia greckimi superśłodkościami na deser) ustaliliśmy wspólnie najbardziej prawdopodobną datę urodzenia artysty. Przez przypadek.



Delektując się „Chianti”, przyciskałem go do muru, aż nagle wydusił: - A wiesz, przypominam sobie jak przez mgłę taki obrazek. Gdy na lotnisku w Tiranie wsiałem do polskiego samolotu, była ze mną ciotka, która miała odlecieć do innego kraju. I mówiła coś o przestępnym lutym... Zaraz... Krzyczała do mnie, żebym pamiętał, że jestem z ostatniego lutego roku przestępnego! Zapomniałem o tym zupełnie, bo nie wiedziałem wtedy, co to oznacza. -

Wynika z tego, że urodziłeś się 29 lutego 1936 roku.

Za swój prawdziwy debiut operowy uznaje dzień 24 września 1961 roku, kiedy to w Operze Wrocławskiej wystąpił w *Poławiaczach peret*, śpiewając partię Nadira. „Paulos Raptis to wielce obiecujący artysta, nawiązujący w swej technice wokalne do najlepszych tradycji włoskich” - napisała po tym występie Danuta Kostewicz we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej”. Tymczasem „Express Łódzki” w tym samym miesiącu zauważył: „Z nie do końca może jasnych przyczyn w operze nie jest nazbyt wykorzystywany - nawiązuje jednak ścisłą współpracę z Orkiestrą PR pod dyrekcją Henryka Debicha...” Co się za tym kryło?

Otóż ówczesny szef artystyczny Opery Łódzkiej, Antoni Majak, uznał, że nowo pozyskany solista jest za niski, by sprostać wymogom reżyserskim szefa. A że ma głos nie od parady?... to mu damy małą rolę w *Fauście*. Niech zaśpiewa krótką partię starego Fausta, a dużą partię odmłodzonego Fausta powierzmy komu innemu. I po premierze, która odbyła się 28 listopada 1760 roku, recenzenci okazali się okrutni. Wykpili to posunięcie pisząc, że stary Faust śpiewał młodym, świeżym głosem, a młodemu jakby głos odebrało i wyraźnie się zestarzał. - Widzisz teraz, Wacek, jak to jest, gdy zapomina się o tym, że w operze głos to fundament. Dlatego nie chcę uznać Fausta jako debiutu, lecz śpiewanych później gościnnie *Poławiaczy peret*.

Mimo że przez ponad dziesięć lat był stale zatrudniony w Operze Łódzkiej, na tej scenie nie widywano go prawie wcale. Etat etatem, ale życie artysty wymaga śpiewania, a nie papierka. Nie wykorzystywany w Łodzi, zaczął jeździć na konkursy wokalne, nagrywać płyty, koncertować w filharmoniach i na estradzie rozrywkowej. Zdobył I nagrodę na konkursie w Krakowie (1963), a był to też rok ukazania się jego pierwszej płyty *Pieśni błękitnego Adriatyku* - nagranej z orkiestrą Henryka Debicha - która zdobyła sobie dużą popularność. Dwa lata później otrzymał II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Śpiewaczym im. Ferencza Enkela w Budapeszcie (wśród głosów żeńskich taką samą nagrodę otrzymała jego łódzka koleżanka Teresa May - Czyżowska).

Śpiewaną w finale konkursu arię Rudolfa z I aktu *Cyganerii* nagrał kilka dni później na płyty węgierskiej wytwórni, a transmisja telewizyjna koncertu finałowego zyskała mu entuzjastów również poza widownią operową. Lecz najważniejszym efektem było zaproszenie do występów w Operze Budapeszteńskiej. Były to jego pierwsze kontakty z zagraniczną sceną operową. Zaśpiewał w Budapeszcie Edgara w *Łucji z Lammermoor*, księcia w *Rigoletcie* i Rudolfa w *Cyganerii*, spotykając się z bardzo dobrymi opiniami recenzentów i gorącym przyjęciem publiczności. Mógł teraz uwierzyć w swój byt sceniczny wbrew opiniom władców Opery Łódzkiej.

Zaczęły się wyjazdy koncertowe, wielotygodniowe tournée od Związku Radzieckiego po Stany Zjednoczone. Śpiewał tam arie operowe, pieśni i piosenki. Rosła też jego popularność w Polsce. Obok zdjęć i recenzji ukazują się w prasie polskiej, radzieckiej i amerykańskiej rysunki satyryków poświęcone Raptisowi, co również w pewnej mierze świadczy o popularności.

Pod koniec lat sześćdziesiątych powstał w Polsce grecki zespół „Hellen”, założony i prowadzony przez Paulosa Raptisa. Istniał kilka lat, jeżdżąc po całym kraju i zyskując sobie sympatie słuchaczy w najdalszych nawet zakątkach Polski. W przerwach między podróżami



Paulos Raptis w roli Fausta

zagranicznymi Paulos także występował ze „swoimi” Hellenami. Ale teraz, po kilkunastu latach, gdy zapytałem go, co uznałby za swoją porażkę artystyczną, odpowiedział: zespół „Hellen”. Fakt związania się z zespołem amatorskim istotnie zaważył na pozycji Raptisa w naszym świecie artystycznym. Opinia środowiskowa rządzi się własnymi prawami: to nic, że jego głos z roku na rok błyszczał coraz bardziej, to nic, że śpiewał na poważnych scenach operowych i w renomowanych salach koncertowych... istotne okazało się, że „wygłupia się z amatorami”, jak to określono na kolacyjkach.

Lata siedemdziesiąte otworzyły nową i bogatą kartę w biografii Paulosa Raptisa. Było to dziesięciolecie, które wyniosło go do grupy czołowych śpiewaków europejskich i ugruntowało przekonanie, iż wśród tenorów polskich ma najpiękniejszy głos od czasów legendarnego Kiepury.

Na początku 1971 roku Paulos Raptis stał się jednym z bohaterów niecodziennego, dziś już historycznego wydarzenia w dziejach polskiego ruchu muzycznego. Stanisław Wisłocki podjął się w Filharmonii Narodowej pierwszego w Polsce wykonania *VIII Symfonii* Mahlera (zwanej też *Symfonią Tysiąca*), w 65 lat od chwili jej powstania. Ponieważ w przedsięwzięciu tym wzięło udział 417 muzyków (powiększona orkiestra symfoniczna FN, połączone trzy chóry i siedmioro solistów), prawykonanie tego monumentalnego utworu trzeba było przenieść z sali Filharmonii Narodowej do Teatru Rozrywki. Zespół wykonawczy zajmował tam całą estradę, pół areny i 200 miejsc siedzących po obu stronach estrady. Partie solowe śpiewali: Bożena Kinasz - Mikołajczak, Maria Fołtyn, Anna Malewicz - Madey, Krystyna Szostek - Radkowa, a partie męskie: Paulos Raptis - tenor, Feliks Gałeczki - baryton, i Andrzej Saciuk - bas. Wydarzenie to (dwukrotne wykonanie *Symfonii tysiąca* odbyło się w połowie lutego 1971) zyskało sobie szeroki rozgłos i liczne komentarze. W recenzjach największe pochwały zbierał dyrygent Stanisław Wisłocki, a wśród solistów - Paulos Raptis.

W tym samym roku zdobył nagrodę na międzynarodowym konkursie w Verviers w Belgii, co wiązało się też z zaproszeniami do dalszych występów w Europie Zachodniej. Niebawem śpiewał już w RFN i Belgii, a do Francji został zaproszony na koncertowe wykonanie *Rigoletta*, organizowane przez radiofonie paryską ORTF.

W maju następnego roku na estradzie wielkiego audytorium Pałacu Radia i Telewizji w Paryżu Georges Sebastian poprowadził transmitowane przez sieć ORTF *Rigoletto*, w którym partię księcia Mantui śpiewał polski tenor - Paulos Raptis. Jemu też publiczność zgotowała prawdziwą owację, a krytycy rozpływali się w pochwałach. Posypały się również propozycje nagrań. Inna wszakże propozycja - prócz nagrań - zatrzymała go w Paryżu. Otóż przyjaciel Raptisa, mieszkający od wielu lat we Francji, popularyzator muzyki polskiej, Józef Sękowski, zaproponował, by za kilka dni stanął do przesłuchań VIII Międzynarodowego Konkursu Śpiewaczego w Paryżu. Pani sekretarz tego konkursu, która również słyszała Paulosa w *Rigoletcie*, orzekła, że może zacząć od II etapu jako laureat innych konkursów. Trzeba było tylko włączyć do repertuaru dwie pieśni Debussy'ego i Ravela. Sękowski szybko znalazł korepetytorcę-pianistkę i po tygodniu Paulos mógł stanąć na estradzie konkursowej. Ponieważ przyjechała też ekipa konkursowa z Polski, poprosił naszego akompaniatora, by również towarzyszył jego występom. - To niemożliwe, bo nie został pan wydelegowany przez ministerstwo - usłyszał w odpowiedzi. Kiedy jednak doszło do finału i zanosilo się na to, że Paulos otrzyma nagród? pieniężną, pan akompaniator odłożył na bok obiekcje natury formalnej i zaproponował, że za 15 procent



sumy z nagrody może wystąpić z Raptisem. Obruszony tym do głębi śpiewak przyniósł kwiaty Francuzce, która mu dotychczas akompaniowała, wyczałował ją i poprosił o dalsze towarzyszenie w finale. Mimo że regulamin zabraniał oklasków, publiczność przyjęła owacyjnie jego występ finałowy i przez dwie godziny czekała cierpliwie na werdykt międzynarodowego jury. Kiedy przewodniczący odczytał werdykt: „Pierwsze miejsce przyznano Paulosowi Raptisowi z Polski” - sala wiwatowała. („Trybuna Ludu” pisała: „Finał odbył się 1 czerwca w sali teatru «Gaveau» przy udziale ponad 1300 widzów (...) Widzowie wstali z miejsc i, bijąc gorące brawa, skandowali «Vive Paulos», «Vive la Pologne». Nowojorski zaś „Nowy Dziennik” w tytule artykułu głosił: „Paulos Raptis następcą Jana Kiepury”).

- Był taki dzień w moim życiu, kiedy z całej mocy chciałem przeskoczyć samego siebie. Wtedy gdy śpiewałem w koncercie laureatów konkursu paryskiego dla tych ludzi, którzy okazali mi tyle serca.

A tymczasem jego popularność w kraju stale rosła. „Wieczór Wybrzeża” donosił: „Po jednym z koncertów Paulosa Raptisa otoczył tłum wielbicieli, prosząc o autografy. Na próżno próbował przedostać się do oczekującego go samochodu. Nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie pewien odważny człowiek, który zdecydował się na przebicie przez tłum i odniesienie (podkr. W. P.) Raptisa do autobusu. Porwanie zaskoczyło wszystkich, dzięki czemu operacja zakończyła się pomyślnie”.

Konkurs paryski, prócz rozgłosu i propozycji występów, spowodował, że po rozstaniu się z Grecją ćwierć wieku temu - Paulos Raptis mógł ujrzeć kraj swoich narodzin. A było to tak.

Pod koniec 1972 roku występował w ośrodkach polonijnych w USA i Kanadzie. Tam zastał go telegram dyrektora Opery Narodowej w Atenach, proponujący przyjazd w celu omówienia kontraktu. W drodze powrotnej z Ameryki wylądował w Grecji. Okazało się, że po konkursie paryskim obecna tam dziennikarka grecka zamieściła w ateńskiej prasie obszerną korespondencję o sukcesie zupełnie jej nie znanego rodaka. Szef opery w Atenach uwierzył, zaproponował występy i podpisał kontrakt.

W listopadzie 1973 roku Paulos Raptis po raz pierwszy w życiu wystąpił na scenie narodowej swojej pierwszej ojczyzny. Śpiewał tam aż do stycznia główne partie tenorowe w *Poławiaczach peret* (po grecku) oraz w języku oryginału *Cyganerie*, *Rigoletto* i *Eugeniusza Oniegina*. Wychodząca po angielsku gazeta „Mirror Review” zatytułowała recenzję: „*Poławiacze peret* - triumfem Bizeta, Raptisa, Modenosa”. W gazetach zaś greckich pisano, że „partię Nadira zaśpiewał przepięknie wspaniały tenor Opery Łódzkiej”, lub też, że „jego wysokie dźwięki błyszczały jak brylanty”. A po *Rigoletcie* dziennik „Athens News” stwierdził: „Śpiew jego był najlepszy, jaki słyszeliśmy w ostatnich latach w Atenach...” Inni krytycy popadli wręcz w euforię i zaczęli porównywać swojego nowo odkrytego rodaka z Enrico Caruso.

O takim spotkaniu z rodzinnym krajem po 25 latach mógłby marzyć każdy Grek. Ale gdy się ma dwie ojczyzny, to i los lubi być przekorny. Mimo bowiem iż po raz pierwszy od dzieciństwa był w Grecji, tradycyjną wigilię spędził przy polskim stole, zaproszony na tę jakże rodzinną kolację przez naszego ambasadora Dobrowolskiego.

W 1974 roku Raptis przeniósł się z Łodzi do Warszawy, rozstał się z tamtejszą operą i związał etatowo z Radiokomittem jako solista Naczelnej Redakcji Muzycznej, prowadzonej wówczas przez Janusza Cegiełłę. Nawiązał też stałą współpracę z teatrami operowymi w Belgradzie, Nowym Sadzie i Skopje. Niebawem w Jugosławii (a zwłaszcza w Macedonii) zyskał podobną

popularność, co i w Polsce. Dokonał też dużo nagrań radiowych, telewizyjnych i płytowych. Jednakże przez 20 lat od swojego debiutu, czyli do roku 1980, nie został ani razu zaproszony na scenę warszawskiego Teatru Wielkiego.

- Czasami wyglądało to wręcz jak kiepska farsa - mówi o tym teraz. - Wyobraź sobie, że z powodu choroby tenora odwoływano w Warszawie przedstawienie *Łucji z Lammermoor*, podczas gdy ja siedziałem w domu, mając akurat przerwę w występach i znany był Teatrowi Wielkiemu mój numer telefonu oraz adres. Lepiej stracić niż zaprosić Raptisa - to było chyba hasło szanownej dyrekcji.

Przyznaje, że nigdy nie miał szczęścia do impresariów. Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych, podczas pobytu w USA, dwóch impresariów zorganizowało mu koncert - przesłuchanie i wstępne rozmowy z bossami świata koncertowego i operowego, wyglądało to jak początek wielkich możliwości. W powietrzu krzyżowały się nazwy miejsc występów, będące marzeniem każdego śpiewaka - z zawrotnymi sumami ewentualnych kontraktów. A potem obaj obrotni panowie przedstawili artyście warunki umowy na piśmie.

- Jak to przeczytałem, to mnie krew załała. Chcieli zrobić ze mnie maszynkę do zarabiania pieniędzy, pieska na smyczy, któremu nie wolno nawet na imieninach u cioci zaśpiewać bez specjalnego zezwolenia Jego Wysokości Impresaria. Owszem, perspektywy były ponętne, ale za cenę absolutnego ubezwłasnowolnienia. Jeśli innym artystom to odpowiada, to niech się godzą. Ja wolałem zrezygnować z wielkich kontraktów, których ceną było sprzedanie całego siebie.



Dał mi do przeczytania fotokopię kontraktu podpisanego już przez impresariów. Przyznałem mu rację, bo życie jest tylko jedno i żadne pieniądze nie wynagrodzą człowiekowi zamiany na małą.

Przeglądam teraz recenzje z występów Paulosa w latach siedemdziesiątych, polskie i obce, notując co ciekawsze określenia: „aksamitny tenor”, „mistrz bel canta”, „mistrz nastroju”, „głos jak szczerze złoto”, „dźwięki jak brylanty”. Okazuje się, że nie tylko nasi krytycy obracają się wciąż wśród tych samych porównań i metafor. Ale może tak trzeba? Może takie właśnie symbole nadal przemawiają do wyobraźni melomanów?

Tak jak pamiętne prawykonanie *Symfonii tysiąca* Mahlera otworzyło Raptisowi pomyślną kartę lat siedemdziesiątych, tak następne dziesięciolecie zainaugurowały dwa istotne zdarzenia koncertowe. Można by nawet zaryzykować tezę, że rok 1980 wyjątkowo mocno zarysował się w jego biografii.

W dniu 8 stycznia Paulos Raptis po raz pierwszy wystąpił na scenie słynnego Theatre des Champs Elysees w estradowym wykonaniu *Borysa Godunowa*. Francuską Orkiestrą Narodową dyrygował Gary Bertini, a wśród międzynarodowej obsady solistycznej, prócz Raptisa, z Polaków wystąpili także: Maria Sartowa i Leonard Mróz. Występ zorganizowało i transmitowało Radio-France. W obszernej recenzji tego wydarzenia w „Le Monde” Gerard Conde najwięcej uwagi - spośród solistów - poświęcił Paulosowi Raptisowi, komplementując jego możliwości głosowe. Występ w Champs Elysees, mówił mi niedawno Pawiaki, był dla niego tak ważnym wydarzeniem jak koncerty w sali Czajkowskiego w Moskwie i nowojorskiej Carnegie Hali. - To pamięta się przez całe życie.

Drugim ważnym zdarzeniem roku 1980 było światowe prawykonanie *Te Deum* Krzysztofa Pendereckiego dedykowane Ojcu Świętemu. Dnia 27 września w średniowiecznej scenerii bazyliki franciszkańskiej w Asyżu, pod dyrekcją kompozytora, Paulos Raptis śpiewał partię solową obok Stefanii Woytowicz (sopran), Ewy Podleś (mezzosopran) i Bernarda Ładysza (bas). Telewizyjna transmisja tego wydarzenia muzycznego odbiła się szerokim echem w recenzjach prasowych, podkreślających wysoki kunszt solistów i orkiestry oraz chóru krakowskiego radia.

Miesiąc później już brał udział w polskiej prapremierze *Włoszki w Algierze* Rossiniego. Tym razem jako gość wystąpił na łódzkiej scenie Teatru Wielkiego (która przedtem przez tyle lat nie chciała wykorzystać jego talentu) i w partii Lindora odniósł wielki sukces... Teraz, kiedy wreszcie przypomniła sobie o nim Warszawa, i po dwudziestu latach - zaproponowano Raptisowi etat solisty w stołecznej operze.

Od następnego sezonu zaczął się pojawiać regularnie we wszystkich kolejnych premierach warszawskich, poczynając od niepremierowego debiutu na tej scenie w roli Księcia w *Rigoletcie*, a potem jako Rudolf w *Cyganerii*, Hoffmann w *Opowieściach Hoffmanna*, Nadir w *Poławiaczach pereł*. Od 1982 roku Paulos Raptis został I tenorem Teatru Wielkiego w Warszawie. Długo czekał na ten zaszczytny dla niego tytuł, aż wreszcie doczekał się. Trafił też do I edycji polskiego *Who is who*, co jest też formą nobilitacji (przynajmniej ze strony redaktorów „Interpresu”)

- Cały czas myślałem, że mamy wspólne hobby: smakowity stół i muzykę. A tymczasem ty podajesz redaktorom leksykonu *Kto jest kto*, że twoje hobby to spacer po lesie. Jak to jest naprawdę?

- Coś musiałem podać...

- Panie Wacławie, niech mu pan nie wierzy - śmieje się żona Paulosa. - Smaczna kuchnia,

owszem, ale żeby go wyciągnąć na spacer, muszę założyć mu obrozę, batem pogonić, otworzyć furtkę i naszym psem postraszyć, nie mówiąc już o wszystkich innych argumentach ziemskich i spod ziemi. Dopiero wtedy pójdzie na świeże powietrze. Zawsze ma sto pięćdziesiąt siedem bardzo ważnych prac, które właśnie teraz, już, już musi wykonać. Bo tak naprawdę, to jedynym jego hobby jest śpiew.

Lata osiemdziesiąte przyniosły mu też bardzo dalekie podróże artystyczne. Chiński dyrygent Choo - Hoey zaprosił go do Singapuru na wykonanie Stabat Mater Dworzaka, gdzie aż czterech muzyków polskich w singapurskiej orkiestrze symfonicznej przekonało go raz jeszcze, że chyba nie ma miejsca na świecie bez Polaków (zwłaszcza w muzycznej profesji). Potem Stany Zjednoczone i koncerty w Carnegie Hali w Nowym Jorku oraz Auditorium Theatre w Chicago, aż wreszcie duże tournée koncertowe po Australii. Jak na początek nowej dekady - to sporo tysięcy kilometrów.

- Zdarzyło się niedawno - mówi Helena Raptisowa - że popsuł się nam samochód i jechaliśmy tramwajem przez Warszawę. Znalazł się tu pewien „odważny” meloman, który w kilku słowach podsumował męża.

- I musieliśmy czmychnąć na najbliższym przystanku - dodaje Paulos.

- Co powiedział?

- Poznał mnie z twarzy i ryknął głośnym basem: to pan, panie Raptis, z takim pięknym głosem jeździ tramwajem, a pański rodak Demis Russos śpiewa dużo gorzej i zarabia tysiące dolarów. Jak panu nie wstyd?

Kilkanaście nagranych płyt, dziesiątki nagrań radiowych i telewizyjnych (a ostatnio przygotowywany przez Janusza Cegiełkę polsko-grecki biograficzny film), kilkanaście partii operowych, bogaty repertuar oratoryjno-kantatowy, od baroku po Szymanowskiego, liczne pieśni i piosenki. Tyle zebrało się w biografii muzycznej tego artysty przez ćwierć wieku występów zawodowych. Budował tę biografię z samozaparciem i uporem, wbrew trudnościom i złym językom, na przekór tym, którzy skrycie pokpiwali z jego niewielkiego wzrostu, z jego prostolinijności i otwartości.

Wierzył, że taki głos, jaki dała mu natura, a który pracą oszlifował - musi w końcu wygrać każdą batalię.

- Tobie nie wolno śpiewać małych partii i nie śpiewaj na małych scenach, mawiał mój profesor Czarnecki. I przekonałem się, że miał rację.

Jest człowiekiem dobrodusznym i pogodnym, życzliwie usposobionym do ludzi i życia. Choć zauważyłem też, że czasami potrafi być raptusem (co chyba nie ma związku z nazwiskiem). Jedyne w swoim rodzaju zjawisko w polskiej wokalistyce: śródziemnomorski tenor na mazowieckiej równinie.

1985



© Wacław Panek  
waclawpanek@waclawpanek.pl